

Łukasz Bity

II nagroda w konkursie literackim „Racibórz prozą zaczarowany”

Skrzypce

Ołpa, gdy słyszy, jak mój telefon dzwoni, natychmiast robi dziwną minę, jakby starzał się i stawał się młodszy jednocześnie, jak dziecko, które uwiedzione pokusą, zjadło ostatni kawałek tortu wiedząc, że jego brat czy siostra nie miały żadnego, w jego oczach mieszała się wina i satysfakcja. Dobrze wiedział, kto dzwonił, ja zresztą też. Nie spoglądając nawet na wyświetlacz, chowam telefon do kieszeni i popijam moralnego kaca sporym łykiem z półlitrowej szklanki, stojącej na stoliku przede mną. Ciężka ciecz szybko spływa wzdłuż mojego gardła, a bąbelki przyjemnie łaskoczą wnętrzności. Piwo nie jest zbyt gorzkie, ani zbyt wodniste. Ołpa uśmiecha się kątem ust, jego zadowolenie rośnie jeszcze bardziej, po czym pyta retorycznie:

– Dobrze, co?

– Dobrze, takie inne. – odpowiadam.

– Nasze, śląskie. – mówi wypinając pierś.

Nic nie mówię, cisza, ale nie trzeba nic mówić, zapominam przez chwilę o urzędzeniu w mojej kieszeni i patrzę jak słońce przebija się przez nasze szklanki, w których piwo zaczęło lśnić niczym rozgrzany bursztyn. Rynek wokół nas zaczął pustoszeć, roześmiane grupki przyjaciół rozchodzić się, dzień dogasał. W tej jednej chwili czułem się, jakby świat skurczył się do stolika, przy którym siedzieliśmy. Znałem to uczucie, zupełnie jak wtedy, gdy byłem dzieckiem, gdy ołpa brał mnie na kolana i pokazywał stare, naderwane, czarno-białe zdjęcia. W tych minutach i godzinach, w których z otwartymi ustami i lśniącymi oczyma wsłuchiwałem się w głęboki głos ołpy, jego kolana stawały się ostoją bezpieczeństwa, naszym małym prywatnym i hermetycznym kosmosem z jedną planetą o nazwie beztroska. Niewiele rozumiałem z tego, co ołpa mówił, jednak chyba wtedy nie liczyło się, co mówił, lecz w jaki sposób, a ołpa umiał opowiadać, ależ on opowiadał! Te obrazy, które pokazywał, dzisiaj mogły być tylko zwykłym piknikiem, wypadem, podczas którego pierwszy raz się zakochał, lecz wtedy, dla mnie, były niczym małe bramy do magicznego świata. Gdy jednak czuję, jak drgania przebijają się przez tkaninę moich spodni, wiem, że czas wracać do teraźniejszości. Nie jestem już dzieckiem, mam 18 lat i być może właśnie zrobiłem

największe głupstwo swojego życia. Wbijam więc dłoń w moje gęste, jasne włosy i potrząsam głową w geście rozpaczony, a gdy ołpa widzi jak krzywię usta i spuszcza wzrok, wzdycha, bierze kolejny łyk piwa i otwiera usta by coś powiedzieć, lecz uprzedzam go, a w gardle ściska mnie koszmarnie:

– Kiedyś będzie trzeba jej powiedzieć.

Ołpa zamyka oczy, wdycha powietrze przez nos ceremonialnie, jakby rozkoszował się lampką dobrego wina i mówi:

– Kiedyś, ale nie teraz, oddychaj śląskim powietrzem...

Śląski luft, śląskie piwo, dla mnie brzmiało obco, lecz w jego ustach tak wzniosłe i swojsko jednocześnie. Wzrok ołpy zaczął błądzić, szwendał się po prostokątnym rynku, mknął to w górę ku wieży kościoła wznoszącej się nad parasolką, pod którą siedzieliśmy, to w dół ku wyłożonemu kolorowymi kamieniami, szlachetnemu godłu pół orła i pół koła. Raz po raz zamykał oczy, a jego twarz kamieniała, zupełnie jakby próbował przypomnieć sobie, odpowiedzieć na pytanie, jak bardzo to co widział, różniło się od tego, co wciąż pozostało w jego wspomnieniach. W końcu wyjął z kieszeni pogniecione 50 Euro, rzucił na stół i szarmancko uśmiechając się do przytakującej kelnerki, odsunął krzesło do tyłu i rzekł:

– Chodź. – powiedział wskazując na posąg w samym środku rynku – podziękuję raciborskiej Maryi.

W jednej chwili poczułem jak moje czoło marszczy się, zdziwiony pytam:

– A jest za co?

Ołpa uśmiecha się ciepło, jakby pouczał psotnego chłopca i odpowiada:

– Pewnie, że jest za co, za takiego szalonego wnuka, co wiozł starego chłopca 600 kilometrów, żeby mu zrobić jeszcze jedną, ostatnią przyjemność.

Teraz to mnie ogarnęło to uczucie, jakbym uratował kotka przez utonięciem, patrząc jak prąd porzywa pięć pozostałych, lecz nic nie daję po sobie poznać, ołpa nie może się martwić, nie może się stresować – myślę.

Nagle coś ścina mnie i zaczyna szarpać wnętrzności, jakbym się znalazł w samym środku koszmaru, z którego nie sposób się obudzić. Coś było nie tak, coś co sprawiło, że zgięte kolana ołpy, który próbował podnieść się z krzesła, niemal zmieniły się w beton. Mężczyzna zaczął szczerkać zębami, drząc niemiłosiernie.

- Ołpa? – pytam połykając ślinę, która ledwo spłynęła przez zaciśnięte gardło. Patrzę jak ołpa blednie i obraca głowę w tył i wtedy widzę coś, po czym spodziewałem się, że będzie krwiożerczą bestią, gotową rozszarpać nas na strzępy, zamiast tego widzę smukłą,

ciemnowłosą dziewczynę, która powabnie sunie smyczkiem, po strunach skrzypiec. Gra smutną melodię, pewnie dlatego w futerale pod jej nogami mimo mijających ją ludzi, nie brzęczą wrzucane raz po raz monety. Lecz dziewczynie zdaje się to nie przeszkadzać. Promienie zachodzącego słońca delikatnie pieściły jej różowe, nieskazitelne policzki, a ona jakby duch melodii, którą grała prowadził jej dłoń, z zamkniętymi oczyma i niewzruszoną twarzą wydobywa ze swojego instrumentu dźwięki, które dla ołpy były jak bilet do innego świata. Z wypełnionymi niedowierzaniem oczyma, spoglądał na tę dziewczynę, a łzy zaczęły ciec z nich strugami. Przez drżące usta wymamrotał:

-Papa...? Papa...

Nim moje ciało zdążyło zareagować, mój umysł już wiedział, że ołpa tracił równowagę, że jego głowa uderzy o drewnianą podłogę. Gdy wreszcie rozkazałem moim nogom, by się ruszyły, rozległ się huk trzaskanego szkła. Błogość raciborskiego rynku utonęła w zduszonych krzykach ludzi obok nas, a ja groteskowo zabarwioną niemieckim akcentem polszczyzną i obłądnym głosem, mogłem tylko krzyczeć by ktoś wezwał karetkę. Drżącymi dłońmi, głąskałem pomarszczoną twarz ołpy, a smutną melodię skrzypiec pożarł niemal rozrywający czaszkę sygnał nadjeżdżającej karetki.

Gdy pierwszy raz, odkąd znalazłem się w szpitalu schowałem telefon do kieszeni, ucho bolało mnie niemiłosiernie, a czaszka jeszcze bardziej, jakby ktoś włożył mi w nie wiertło i próbował przebić się prosto do mózgu, rozszarpując wszystko na swojej drodze. Byłem w złym miejscu, w złej sytuacji, opuściłem swoje ciało na krzesło w korytarzu i schowałem twarz w drżących dłoniach, po to by ludzie nie widzieli żalosnej parodii mnie. Oddychając płytko, by tylko nie czuć odoru leków, spoglądałem raz po raz na przechodzącego lekarza, lecz on tylko kiwa głową w akcie zrezygnowania. Mam ochotę roztrzaskać mu krzesło, które stało obok na głowie, mimo że nie jest niczemu winny, robi co może. Mówi mi, żebym odpoczął, zdrzemnął się na chwilę, napił gorącej czekolady z automatu, ale ja nie chce ani odpoczynku, ani drzemki, ani gorącej czekolady, ani słuchać lekarza. Chcę żeby moja matka dała mi przeprosić, wyjaśnić, ale ona nie chciała słuchać. Powiedziała tylko, że jedzie, że pogadamy, gdy będzie, w wolnym tłumaczeniu – „to twoja wina”. Gdy z frustracji mam ochotę wywarzyć drzwi do sali, na której leży Ołpa, gdy nie czuję nic poza przyprawiającym o wymioty odorem szpitala, nagle słodka woń pieści moje nozdrza, a melodyjny, dziewczęcy głos mówi do mnie czule:

- Co z twoim dziadkiem?

Zdejmuję ze swojej twarzy barierę dłoni i obracam głowę w lewo, skąd spogląda na mnie zatroskana para oczu. Spodziewałem się wszystkiego, ale nie tej twarzy, smukłej, z różowymi policzkami, na które powabnie opadały lekko falowane kruczoczarne włosy. Poznałem ją natychmiast, a mój umysł w sekundę przypomniał sobie melodię, którą grała na rynku. Próbowałem wydusić z siebie odpowiedź, choć jedno zdanie, lecz słowa jakby nie chciały przejść przez niewidzialną barierę na moich ustach. Lustrując moją twarz, dziewczyna zapytała niepewnie:

- On...jest twoim dziadkiem...?

Skinąłem drżącą głową i odrzekłem:

- Tak...

Dziewczyna spojrzała na mnie wzorkiem, do którego przywykłem, od kiedy z ołpom przekroczyliśmy granicę. „On jest jakiś inny” – myśleli ludzie słysząc niemiecki akcent w moich niepewnych polskich zdaniach. W jednej chwili zwróciliśmy się ku sobie, wypalając jednocześnie:

- Co ty tu robisz?

Groteskowa cisza zapanowała między nami, nasze spojrzenia powędrowały na podłogę. Dziewczyna jakby szukała sposobu, by poradzić sobie z niezręczną sytuacją, a ja tylko zastanawiałem się jak czerwona jest w tym momencie moja twarz i czy jest tak dlatego, że powiedzieliśmy coś jednocześnie, czy dlatego, że przez chwilę była tak blisko i ładnie pachniała. Po chwili, gdy znów nasze usta otworzyły się jednocześnie, odwróciłem wzrok, po czym spojrzałem bojaźliwie, a ona rzekła:

- W sensie...no wiesz... co robisz w Raciborzu? Nie jesteś stąd.

Przyszedł czas na rachunek sumienia – pomyślałem. W tym jednym pytaniu kryły się wszystkie moje wspomnienia, wszystko to co łączyło mnie z ołpom i jego opowieści o ślicznym Raciborzu, dziecięca przygoda, która uwiodła mnie do tego, co się stało. Czułem jakby ta historia była ciężkim kamieniem leżącym na płucach, który nie pozwalał oddychać, a ta nieznaną dziewczyna wydawała się być jedną osobą, która chciała pomóc mi go unieść.

- Mój ołpa... – rzekłem tak cicho, że musiała się pochylić by usłyszeć, a ja znów poczułem ten słodki zapach truskawek i malin – ...mój dziadek... urodził się w tym mieście, mieszkał tu, jakby to powiedzieć... bis zum Krieg...

- Aż do wojny...?

Spojrzałem ze zdziwieniem, a dziewczyna obdarzyła mnie niewinnym uśmiechem:

– No nie patrz tak. Tu wszyscy mamy niemiecki w szkołach. Nie wiedziałeś? Swoją drogą całkiem nieźle mówisz po polsku, choć trzeba by cię podszkolić. Na przykład o... – rzekła prezentując z dumą swój futerał – ... jak to jest po polsku?

– Sz...szczytce... – rzekłem, dopiero po chwili zdając sobie sprawę, że wystawiam się na pośmiewisko.

– SkRZYpce! Pamiętaj RZY! – mówiła grożąc palcem i wystawiając język, po czym zapytała – a po niemiecku?

– Violine... - odpowiedziałem natychmiast.

– Ładnie. Pasuje do tego instrumentu. – rzekła, po czym widząc, że znów zamykam się w sobie, dodała – wiesz... byliście chyba jedynymi osobami, które słuchały jak grałam, mimo że melodia była smutna, wy słuchaliście, lubię tę melodię, chyba dlatego przyszłam sprawdzić co z wami. Wiedziałam, że słuchaliście, czułam to, mimo że miałam zamknięte oczy. Ja...

– Panie Schliemann, może pan wejść...

Gdy usłyszałem głos lekarza nad głową, zerwałem się niemal na baczność. Spojrzałem na mnie znad swoich okularów, a gdy szedłem ku niemu, czułem na sobie wzrok dziewczyny, która powoli podnosiła się z krzesła. Lekarz pochylił się nade mną i szepnął do ucha:

– Tylko na chwilę...

Nie mówiąc nic skinąłem głową, lecz nim otworzyłem drzwi do sali ołpy, usłyszałem:

– Hej... jak masz właściwie na imię?

Nie mogłem oderwać myśli od ołpy, lecz to pytanie sprawiło, że uśmiechnąłem się kątem ust:

– Max.

– Jestem Julia – odpowiedziała, pogodnie dodając – poczekam tu na ciebie...

Gdy tylko znalazłem się wewnątrz szpitalnej sali, jej sterylność przytłoczyła mnie. Zimne barwy, ponure ściany, jedno krzesło i jedno łóżko, na którym leżał ołpa, podłączony do rurek. Widziałem go w takiej sytuacji kilka razy, jednak nigdy jego twarz nie wyglądała tak staro, jakby jego siła wisiała na cienkiej linie, z której powoli odrywają się włókna. Jego ciało było roztrzaskane, widziałem to natychmiast, tak bardzo inne od tryskającego zadowoleniem mężczyzny sprzed kilku godzin. Wyglądał jakby spał, jego powieki nawet nie drgnęły, gdy podszedłem cichutko i usiadłem obok, dopiero gdy chwyciłem czule jego dłoń, lekko się rozchyliły, a ołpa straszliwie zachrypniętym głosem rzekł:

– Twoja mama da mi popalić...

Próbowałem powstrzymać drżenie ust, łzy ciekące z oczu, ołpa zawsze potrafił wyczuć, gdy kiepsko się czułem, skrzywiając usta, powoli zaczął mówić:

– Chcesz wiedzieć co się stało prawda? Dlaczego tak się przejąłem, gdy usłyszałem tamtą melodię?

Gdy skinąłem głową, a ołpa zaczął opowiadać, znów poczułem się jak wtedy, gdy byłem małym dzieckiem, jakby ołpa zabierał mnie w tajemniczy świat pełen magii.

– Przepraszam Maksiu, okłamałem cię, a raczej... nie powiedziałem całej prawdy. Wiesz dlaczego przyjechaliśmy tu.... nach Ratibor... do mojego Raciborza? Nie tylko z sentymentu. Jest pewna historia, o której nie wie nikt, nie wie twoja mama, nie wiedziała nawet twoja ołma. Gdy mieszkaliśmy w tym mieście, nie byłem takim kawalerem jak ty, byłem jeszcze dzieckiem, ale dobrze pamiętam, co się wtedy stało. Mój ojciec był skrzypkiem w Raciborzu, w Stadttheater, teatrze miejskim. Pamiętam jak występował, jak grał mi przed snem. Jego muzyka wypełniała powietrze prześlicznymi melodiami największych geniuszy: Bacha, Mozarta... Racibórz zawsze był ślicznym miastem, otwartym, wypełnionym rozmowami przyjaciół i kochanków. Dla większości, wtedy „zawsze był niemiecki”, ale dla papy był domem wszystkich, sąsiadom nie podobało się, gdy ożenił się z Polką, lecz dla niego to nie miało znaczenia. Muzyka nie ma narodowości – jest dla wszystkich, mówił zawsze. Miałem szczęśliwe dzieciństwo, aż przyszli oni... Papa mówił, że będzie źle. Jak kurdupel z brudem pod nosem może rządzić naszym państwem? – pytał ironicznie. Naziści nienawidzili papy. Gdy przejęli władzę w Raciborzu, zakazali mu grać, wiedzieli, że jest przeciw nim, że jego żona była Polką, gdy nie chciał wstąpić do wojska, walczyć za niesłuszną sprawę, zamknęli go w obozie dla Polaków, „będziesz wśród swoich, skoro tak kochasz Polaków” – mówili, gdy zobaczyłem go po raz ostatni. Pamiętam krzyki matki, przez lata mówiła mi, że nie wolno mi ratować papy, że nie wolno mi narażać życia, ale pewnej nocy w 1943 nie mogła mnie utrzymać. Pobiegłem do tego obozu i gdy wreszcie byłem na miejscu, usłyszałem tę melodię... nawet teraz wciąż mnie nawiedza. Papa grał ją zawsze, gdy ktoś był smutny, dla mieszkańców Raciborza była symbolem nadziei, beztrioski, dla Nazistów była symbolem oporu, oporu przeciwko ich chorym podziałom na Niemców i Polaków, lepszych i gorszych. Zza płotu obozu widziałem jak papa grał tę melodię dla wszystkich, Polaków i dobrych Niemców, takich jak on. Miała dawać im nadzieję, że Naziści mogą im zabrać wszystko, lecz nie muzykę, nie wiarę, że może być lepiej. Papa grał na swoich skrzypcach, jak wtedy ta dziewczyna, z zamkniętymi oczami. Musiał ukryć gdzieś w obozie skrzypce, które przyjaciele przemycili mu, po to by kiedyś, kiedy będzie miał szansę, mógł zagrać melodię, którą tak

kochał. Chyba wiedział, że umrze w tym obozie, więc chciał umrzeć jako wolny człowiek, a dla papy wolnością była muzyka, granie takiej melodii jaką on sam wybrał, która wznosiła go ponad mury obozu. Chciałem wtedy krzyknąć, powiedzieć mu, że tu jestem, lecz zanim otworzyłem usta, ujrzałem jak... młody komendant strzela mu w tył głowy. Mój ojciec... papa, być może nawet nie wiedział, że umiera, nic nie poczuł, umarł, gdy grał. Kiedy nasze spojrzenia, moje i tego komendanta się spotkały, widziałem w jego oczach płonące z całą siłą zło imperium nazistów. Maksiu, ja chciałem... jeszcze raz... jeszcze raz usłyszeć dźwięk skrzypiec papy, myślałem, że może jak przyjedziemy tu, do Raciborza, że może jakoś je odnajdę... przepraszam że Ci nie...

Uścisk ołpy robił się coraz słabszy, aż w końcu jego dłoń bezwładnie opadła na łóżko. Z trzęsącymi się na prześcieradle rękoma, otworzyłem usta, by wezwać lekarza, lecz wtedy czując jego dłoń na moich barkach, spojrzałem w górę, widząc jak doktor stonowanym głosem mówi:

– Zasnął... musi pan już iść – rzekł formalnie i dodał – A tak... miałem dać panu od niego jeszcze to...

Smukłe dłonie lekarza wręczyły mi starą, nadgryzioną zębem czasu książkę. Gdy wziąłem ją do rąk wspomnienia we mnie odżyły. Nim wyszedłem z sali spojrzałem jeszcze raz na ołpę, nie mogąc odpowiedzieć na pytanie, dlaczego zostawił mi największy skarb – swój pamiętnik.

Mrok ogarnął ulice Raciborza. Gdy maszerowaliśmy ulicą Drzymały, nie milkiśmy nawet na sekundę. Julia chciała wiedzieć wszystko, całą historię, moją i ołpy. Dwoje ludzi z różnych krajów, dopiero co się poznaliśmy, lecz w tym momencie ona była jedyną osobą, która chciała i mogła mi pomóc, drobna, szczupła Julia, tak zaradna i dojrzała jak na swoje 17 lat.

– A więc pierwsze co zrobiłeś, gdy tylko dostałeś prawo jazdy, to wsiadłeś w samochód, zabrałeś swojego dziadka i przyjechaliście tutaj nie mówiąc o tym nikomu? To jest...

– Szalone wiem... - uprzedziłem ją i dodałem wymachując pamiętnikiem przed jej buzią – ołpa był... jest ciężko chory, każdy z nas, moja mama też, wiedzieliśmy, że to kwestia, miesięcy, może tygodni zanim... Tyle razy mówił jak bardzo chciał zobaczyć znowu swoje stare miasto, Ratibor... A teraz, gdy przeczytałem to... wiem, że ołpa miał się tu z kimś spotkać, dlatego chciał tu przyjechać! Tylko pytanie z kim i gdzie, tego mi nie powiedział... – rzekłem zaciskając zęby i zgryźliwie machając głową.

Z nietypową dla dziewczyny w jej wieku pewnością siebie i dojrzałością Julia odpowiedziała:

– Spokojnie. Jeśli ktoś może ci odpowiedzieć na to pytanie, to będzie tam, dokąd idziemy.

Mówisz, że znalazłeś w tym pamiętniku rysunek tatuażu?

– Tak – kiwnąłem głową – Ostatnia strona pamiętnika była zaklejona. Ołpa próbował ją oderwać, ale chyba nie miał już siły, gdy ja to zrobiłem zobaczyłem to... wygląda na to, że miał go na ramieniu ten komendant, który... zabił mojego pradziadka...

– Chore... - powiedziała Julia, gdy jej wzrok padł na rysunek sztyletu z rękojeścią zakończoną trupa czaszką, z której oczu wyłaniał się złowrogi wąż – zaraz powinniśmy być na miejscu... o to tutaj, plac Władysława Jagiełły.

Julia zatrzymała się, a mój wzrok padł na majestatyczną kamienicę w tle romantycznej fontanny. Nieopodal jakieś małżeństwo w średnim wieku spoglądało w naszą stronę i szeptało uśmiechając się, myśląc pewnie, że jesteśmy na randce.

– Co to za miejsce? – spytałem niepewnie patrząc na budynek, który miał w sobie coś tajemniczego, sakralnego.

– Dom...dla ludzi, który potrzebują pomocy, chodź – powiedziała chwytając mnie za dłoń. Julia, z kieszeni wyłoniła pęk dźwięczących kluczy i pośpiesznie otworzyła drzwi.

– Wolę nie wiedzieć skąd masz klucze do domu pomocy społecznej – powiedziałem patrząc na tabliczkę obok drzwi.

– Dozorca jest kolegą mojego taty. Czasami przychodzę tu pomagać siostrzyczkom przy pacjentach, gram im melodie, to ich uspokaja. Powiedział, że poczęstował panią Hildę likierem wiśniowym, jest wtedy taka... wesola, robi się rozmowna. Ta kobieta jest niesamowita, nie przestrasz się, bo jest bardzo chora, ale potrafi ci za to opowiedzieć każdy szczegół niedzielnej mszy, na której była jako siedmiolatka. Jeśli ktoś może ci powiedzieć więcej o tym tatuażu czy czymkolwiek ze starego Raciborza, to tylko ona. Ale musimy się śpieszyć.

Gdy tylko znaleźliśmy się za drzwiami, Julia przyśpieszyła kroku. W końcu weszliśmy do przyciemnionego pokoju ze staromodnym wystrojem, gdzie na bujanym fotelu siedziała krótkowłosa staruszka, ubrana w łańchmany z czerni. Ze wzrokiem, w którym mieszał się strach i zniesmaczenie wpatrywała się w lustro na ścianie. Gdy zauważyła nas kątem oka, rzekła władczo:

– Julcia, znowu ta straszna baba! Patrzy się cały czas na mnie! Powiedz jej, żeby wyszła! Chcę mieć spokój!

Julia westchnęła i natychmiast zakryła lustro płachtą, dopiero wtedy zrozumiałem, jak bardzo ludzie cierpieli w domu, w którym pomagała dziewczyna. Nie tracąc czasu niemal wyrwała mi pamiętnik z dłoni i wskazując na rysunek tatuażu zapytała:

– Pani Hildziu. Widziała pani kiedyś coś takiego?

Kobieta rozwarła oczy szeroko, po czym przytaknęła, wystawiając dolną wargę:

– Oj kochaniutka, pewnie, że widziałam. On taki młody był i fajny..., wszystkie dziewczyny za nim latały – w jednej chwili starszka spojrzała w okno i prychnęła z oburzeniem – ale później ci od Hitlera przyszli i phi! Już tylko Arbeit! Coś mu z głową zrobili! Obozu pilnować kazali, ale ja już nic nie wiem... spać, idę spać...

– Pani Hildziu proszę... gdzie był ten obóz? – Julia pochyliła się nad kobietą, a ta w końcu wyszeptowała jej coś do ucha, czego nie zrozumiałem. Po chwili podeszła do mnie i rzekła:

– Tu. Napiszę ci gdzie masz pojechać. Ja nie mogę, jeśli mamy znaleźć skrzypce twojego dziadka i zagrać mu tę melodię, to muszę jeszcze coś załatwić.

Patrząc na kartkę, którą mi napisała, skinąłem głową i wybiegłem przez drzwi w kierunku samochodu.

Gdy stałem w miejscu, które opisywała karteczka podpisana „Polenlager 75” dłonie drżały mi ze frustracji. Znalazłem się w samym środku pola, na którym nie było nic prócz ziemi i traw. Sam nie wiedziałem, co miałem nadzieję tu zastać. Gdy rozpacz sięgała zenitu, chciałem krzyknąć, lecz wtedy za plecami usłyszałem głos:

– Jesteś podobny do niego... - rzekł mężczyzna o arystokratycznych rysach twarzy.

– Kim pan jest? – Zapytałem, odsuwając się na bezpieczną odległość.

– Kimś kto chciał się spotkać z twoim dziadkiem. Hermann Katte – rzekł podając mi dłoń i nie dając dojść do słowa kontynuował – twój dziadek ma imponującą pamięć i inteligentnego wnuka, jak się wydaje. Racibórz to wcale nie takie duże miasto, więc już słyszałem, co stało się na rynku. Od razu wiedziałem, że on się tu nie pojawi, ale mogę w takim razie dać tobie, żebyś mu przekazał. Zakładam, że ci się spieszy, bo nie zostało mu już wiele czasu. Katte wręczył mi stare, wyblakłe zdjęcie, z którego złowrogo spoglądał na mnie przystojny młodzieniec. Natychmiast pamięć przywołała słowa ołpy: „W jego oczach całe zło nazistowskiego imperium wciąż mocno płonęło”.

– Czy to jest...?

Katte przytaknął.

– Willi Lerch – Komendant Polenlager 75 – To on zabił ojca twojego dziadka. Zanim zapytasz skąd wiem... można powiedzieć, że tropię byłych nazistów, dla zasady. Możesz przekazać swojemu dziadkowi, że został za to... rozliczony. A to... chyba należy do niego... Mężczyzna podniósł futerał, który trzymał w prawej ręce i przekazał mi. Gdy otworzyłem złote zatraski, a światło z mojego telefonu padło na futerał, ujrzałem zabytkowe, wykonane z szlachetnego drewna skrzypce, na których podpisane było moje nazwisko – „Schliemann”. Gdy podniosłem wzrok mężczyzna już maszerował w oddali.

– Proszę poczekać, ja...!

W jednej chwili zamarłem. Świat zatrzymał się, ale jak się właśnie przekonałem, tak chyba musiało być, gdy człowiek patrzył w dół lufy pistoletu.

– Chyba nie muszę Ci mówić, że ta rozmowa, to spotkanie nigdy nie miało miejsca, żegnaj – rzekł i zniknął w ciemności nocy.

Liebe Julia,

Kochana Julio,

Już rok minął, od kiedy wróciłem do Berlina. Wiem, nie byłaś tu nigdy, więc powiem ci, że życie jest ciekawe, to duże miasto, ale nie tak ciekawe, jak przez te parę dni, które spędziliśmy w Raciborzu. Ostatnio miałem aferę w szkole. Przez ciebie! Wciąż łapię się na tym, że nucę melodię, którą mu zagrałaś na jego skrzypcach, wtedy, w szpitalu. „Ratibormond” – „Księżycowy Racibórz”, albo jak twój nauczyciel muzyki mówił „Schliemannlied” – „Piosenka Schliemanna”. Wciąż nie mogę uwierzyć, że znalazł w starych książkach melodie mojego pradziadka i nauczył cię ich zaledwie w kilka godzin. Moja mama powoli dochodzi do siebie, ja zresztą też. Ołpy już nie ma z nami, ale wiem, że odszedł szczęśliwy, tam gdzie przyszedł na świat, w swoim pięknym Raciborzu i słysząc ukochaną melodię swojego taty. Dziękuję ci i jestem pewien, że ołpa właśnie na nas patrzy i on też ci dziękuje. Ostatnio uczę się grać na gitarze, może gdy przyjadę, zagramy razem Schliemannlied? Może przy stawie w parku miasta Roth? W Berlinie jest sporo ślicznych miejsc, ale w Raciborzu... tam czas płynie jakby wolniej, jest tak swojsko, spokojnie, człowiek czuje się u siebie. Pamiętasz jak rozmawialiśmy ostatnio przez telefon? Mówiłem ci, że będę miał dla ciebie trzy niespodzianki. A więc: załącznik numer 1 – faktura za paliwo,

akurat tyle żeby starczyło do Raciborza. Załącznik numer 2 – spisana umowa wynajmu mieszkania w Raciborzu, blisko rynku, tak żebyśmy mogli chodzić na piwo raciborskie, brakuje mi już tego smaku. I załączniku numer 3 – cytuję „Jest nam niezmiernie miło poinformować pana Maxa Schlimanna, że został pan przyjęty na pierwszy rok studiów w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Raciborzu”. Tak więc Julia, zanim powiesz jakieś niecenzuralne polskie słowo w akcie zdziwienia, to ja też się cieszę, że cię zobaczę.

Do zobaczenia.

Max Schliemann.